

Moje wspomnienia- Szlakówka

Szlakówka w oficjalnych dokumentach Ordynacji Zamojskiej występuje pod nazwą „Szlak”. Mieszkali tam wysocy rangą, zaufani pracownicy Ordynacji Zamojskiej „Szlakowi”, którzy sprawdzając legalność wywożonego z lasów Ordynacji drzewa konfiskowali te kradzione i z fałszywymi dokumentami. Szlakówka stała się naszym domem rodzinnym. Tutaj urodziły się trzy moje siostry i zmarła nasza mama.



Wojskowa mapa sztabowa z 1936 r. Cała pradolina rzeki Wieprz aż do Kawęczyna oznaczona poziomymi dwukropkami - to bagienne łąki. Droga ze Szczepieszyna w dół do skrzyżowania z Brodami obwiedziona kropkami, co oznacza, że jest to droga, która może być w pewnych okresach nieprzejezdna. U dołu, w rogu tej drogi i drogi w prawo prowadzącej do Brodów Dużych, „przitulona” do nich Szlakówka. (napis Brody Stare dotyczy folwarku- nazwa wsi powyżej)

Od Szlakówki po obydwu stronach drogi w kierunku Szczepieszyna aż do rzeczki Świnka są zaznaczone prostokąci- to nie czynne już w latach trzydziestych stawy rybne. Dalej, po prawej stronie przylegając do rzeczki Świnka, jest zaznaczona na mapie skrótem Rzeź.- rzeźnia zwana pospolicie szlachtuzem. Za Świnką oznaczony literami M,m. znajdował się młyn murowany z białego brodzkiego kamienia i ceglanymi narożnikami. Podobny wielkością i wyglądem do tego, obok którego przechodzi się idąc do Błonia. Koło młyna działa głębinowa studnia artezyjska, która zapatruje amatorów w smaczną wodę.

Wszystkie nieczystości z rzeźni i młyna sływały do Świnki, a dalej Wieprzem do morza. Tak samo zresztą ze znajdującej się w Brodach Małych fabryki kalafonii i terpentyny- ścieki były wpuszczane wprost do przydrożnego rowu, którym płynęły sobie nieustannym strumyczkiem rozsiewając przenikliwy zapach terpentyny, po czym przepustem pod jezdnią odprowadzano je na drugą stronę drogi, stamtąd rowem też do Wieprza. O ekologii nikt jeszcze nie słyszał.

Dalej, zaznaczony na mapie literą T, duży obszar zajmował tartak. Młyn i tartak, jako mienie pożydowskie, nie mając po wojnie właściciela popadły w ruinę, aż w końcu zupełnie zniknęły. Jakiś czas na miejscu tartaku było targowisko.

Dalej był już Wieprz, znad którego unosił się od rana do wieczora odgłos kijanek, którymi kobiety prały w rzece bieliznę.



Ze zbiorów Archiwum Państwowego w Zamościu.

Kobieta po lewej wykręca pranie, po prawej płucze bieliznę, w środku kijanką uderza z całej siły w sztukę namydlonej i położonej na desce bielizny, ciągle ją odwracając na różne strony i ochlapując przy tym wodą.

W drugim kierunku od Szlakówki, prawie na samym wierzchu Brodzkiej Góry były kamieniołomy, z których wapienny biały kamień służył, jako budulec wielu domom i budynkom przemysłowym. Z wierzchołka tejże Brodzkiej Góry roztaczał się przepiękny widok na Szczepreszyn i położone za nim wsie, w prawo daleko, prawie do Zawady, w lewo poza Topólczę. Dzisiaj wysokie zarośla, jakie wyrosły w nieczynnych kamieniołomach widok ten zasłoniły. W kamieniołomach można było znaleźć liczne piękne muszle ślimaków z czasów, kiedy było tutaj morze.



Szlakówka od strony Brodzkiej Góry



Szlakówka „od frontu”. Lewe okno powiększone przez ojca- przed tym było tylko pojedyncze. Szlakówka miała dwa wyodrębnione mieszkania, jedno mniejsze powierzchniowo po lewej stronie, patrząc na powyższą fotografię, drugie po prawej stronie- większe. Widać to też na zdjęciu poniżej przedstawiającym Szlakówkę od strony podwórza.



Szlakówka od podwórka

Okno pojedyncze w mniejszym mieszkaniu- podwójne w większym. Nawet kominy są zróżnicowane Można przypuszczać, że mieszkanie większe służyło szlakowemu, mniejsze jego pomocnikowi. Mniejsze mieszkanie składało się z pokoju, kuchni, spiżarni i wyjścia na podwórze. Większe z dużego pokoju liczącego ponad trzydzieści metrów kwadratowych, tak samej dużej kuchni, spiżarni, schodów na strych i wyjścia na podwórze. W czasie okupacji, po zabraniu dotychczasowej szkoły dzieciom polskim dla dzieci folksdojczów, odbywały się w dużym pokoju lekcje szkolne.

W kuchni większego mieszkania stał duży, staroświecki piec kuchenny wraz z piecem chlebowym o wymiarach około 1,5 metra długości i ponad 1 m szerokości. Nad nim było obramowane murkiem miejsce do spania. Było tam cieplutko i wspaniałe miejsce do zabawy szczególnie zimą.

Na podwórzu Szlakówki, oprócz mieszkań i zabudowy gospodarczej – stodół, stajni itp., była studnia zbudowana z bierwion drzewa (kwadratowa), z potężnym żurawiem i korytem wydłubanym w jednym pniu. Wszystko wykonano solidnie z grubego drzewa. Podstawa żurawia wykonana była z wysokiego na kilka metrów pnia o trzydziesto centymetrowej średnicy u góry rozwidlonego. W tym rozwidleniu na żelaznym trzpieniu osadzone było ramie żurawia zakończone na jednym końcu kilku metrowym drągiem, który opuszczał się do studni z umocowanym na nim wiadrem. Później ojciec przebudował studnię na kręgi betonowe- zamiast żurawia był kołowrót.



Studnia z żurawiem- skansen w Guciowie- w Szlakówce studnia była dużo solidniejsza i ładniejsza. Fotografował Zdzisław Dudek.

Droga od Szlakówki do Szczebrzeszyna przez pradolinę rzeki Wieprz została wybudowana przez Ordynację Zamojską razem ze Szlakówką w pierwszym ćwierćwieczu XIX w. Droga, czy raczej ziemna, utwardzona grobla miała ułatwiać wywóz drzewa z lasów Ordynacji zza Brodzkiej Góry do Szczebrzeszyna i położonych za nim miejscowości. Na poboczach, dla jej umocnienia rosła aleja, w latach 30-tych XX w. już ogromnych topoli.

Droga ta była uszkodzana prawie każdego roku przez „wielką wodę”. Po jesiennych opadach, a szczególnie po gwałtownych wiosennych roztopach ogromnej masy śniegu- zimy były śnieżne i mroźne, kiedy zmarznięta ziemia nie mogła jeszcze wchłonąć wszystkiej wody, jej nadmiar przelewał się przez drogę czyniąc ją nieprzejezdną. Każdego roku trzeba było ją naprawiać.

Po zajęciu Szczebrzeszyna przez wojska austriackie w roku 1915 groblę podwyższono i utwardzono klinkierem- rodzajem specjalnej cegły. (Utwardzono także i inne drogi i doprowadzono kolej). Jednak nadal niszczyły ją powodzie. Pamiętam jak woda przelewała się przez nawierzchnię drogi płynąc od Zwierzyńca do Bodaczowa. Ówczesny znacznie wyższy od dzisiejszego poziom wód gruntowych, być może nawet o dwa metry, sprawiał, że w mokre lata trudno było wejść na łąki, aby wykosić trawę, nie mówiąc już o wjeździe furmanką po siano. W zimie ślizgać się można było po lodzie od Zwierzyńca do Bodaczowa, gdy na łąkach zamarzała woda po jesiennych opadach. Na łąkach tych nie było wtedy żadnych zarośli, czy drzew takich jak dzisiaj. Kilkanaście

lat po wojnie 1939-44 r. klinkierowa droga została znowu podwyższona i pokryta asfaltem, stare topole wycięto i posadzono nowe już poza poboczem.

W miejscu gdzie dzisiaj obok Szlakówki jest stacja transformatorów znaleziono w roku 1938 kilka ludzkich szkieletów. Pamiętam komisje lekarsko-policyjne. Okazało się na podstawie badań i wywiadów, że pochowano tam zmarłych, których nie można było pochować na cmentarzu w Szczepreszynie z powodu nieprzejezdności drogi.

Wieprz szerszy i głębszy niż dzisiaj, zimą zamarzał. Wykuwano z niego potężne bryły lodu, które zwożono do lodowni- wejście do niej było przez otwór w murze otaczającym kościół pw. św Katarzyny od ul. Zwierzynieckiej. Warstwy lodu przysypywano trocinami, a po zapełnieniu lodowni otwór zamurowywano. W lecie chłodzono tym lodem artykuły spożywcze- nie było jeszcze wtedy lodówek. No i wyrabiano lody.

Dzieci często przyglądały się tej produkcji czekając aż lody będą gotowe do spożycia. Do wysokiej na około czterdzieści centymetrów drewnianej beczki wkładano mniejszy okrągły blaszany pojemnik a przestrzeń pomiędzy nimi zapełniano pokruszonym lodem. Do blaszanego pojemnika wlewano płyn sporządzony z mleka, żółtek i cukru, dodawano zapachy np. wanilii i zakrywano pokrywką. Następnie ręcznie nadawano pojemnikowi ruch obrotowy kręcąc go przy pomocy odpowiednio wymodelowanego grubego drutu. Przestrzeń pomiędzy drewnianą beczką a blaszanym pojemnikiem często uzupełniano lodem, który topił się i wypływał z beczki otworem w jej dnie. Lód posypywano solą, która spowalniała jego topnienie. Po kilkunastu minutach obracania blaszanego pojemnika w lodowo- solnej mieszance płyn znajdujący się w nim zamarzał tworząc smaczne lody.

Działania szlakowych określała instrukcja z przed 200 lat:

- „1) Szlakowy miejsca swego bez wyraźnego rozkazu i zastąpienia go osobą wyznaczoną opuszczać nie może
- 2) Prowadzenia na materiały, budulec, opałowe w sągach, czy na ugaj itp. bez asygnacji i cechówki po dokładnym przekonaniu się o prawdziwości cechówki, gdyż doświadczenie przekonało, iż włościanie umieją cechówki podrabiać, przepuszczać nie może i nie powinien, a za dostrzeżeniem uchybień lub, że drzewo wiezione nie odpowiada asygnacji albo warunku ugaju, zwać na szlaku i o tem właściwemu podleśniczemu lub na sesyi donosić.
- 5) Uległość i poszanowanie należne zwierzchnikom począwszy od zarządcy, podleśniczemu, lustratorowi lasów, leśniczemu, jako jego pomocnikowi szlakowy winien okazywać”.

Trzeba tu wytłumaczyć kilka pojęć dzisiaj już niezrozumiałych:

zarządca – zarządzał całym majątkiem klucza Zwierzynieckiego Ordynacji Zamojskiej- podleśny zarządzał lasami w tymże kluczu

lustrator lasów i leśniczy jego pomocnik nadzorowali lasy we wszystkich kluczach, położonych w całej Polsce, czyli w całym ogromnym majątku Ordynacji Zamojskiej.

prowadzący- to przewożący drzewo

ugaj- w latach sześćdziesiątych XIX wieku carska Rosja uwłaszczyła chłopów pańszczyźnianych. Każdemu uwłaszczonemu wydzielono pole z obszaru ziemi folwarcznej. Łąki do wypasu, tzw. wygony, dawano na własność całej wsi bez dzielenia dla poszczególnych chłopów- taka łąka jest jeszcze do

dzisiaj w Brodach Małych. Natomiast lasu nie przydzielano, lecz określono ile i komu należy się w ciągu roku furmanek opału, ile drzewa i jakiego w przypadku budowy domu, zagród, itp.- oficjalnie nazywało się to serwitutem, a poospolicie ugajem. Przydzielone drzewo wydawano w ugajowe dni.

Cechówka- coś w rodzaju dużego młotka, na którym wyróżnione były cechy właściwe danego gajowego. Po wycięciu drzewa gajowy uderzał cechówką w pozostały w ziemi pień i w tzw. odziomek ściętego drzewa na znak, że drzewo zostało wycięte legalnie. Wszystkie pnie drzewa znajdujące się na wiozącej je furmance musiały mieć odbite przez gajowego jego cechy. Po tym szlakowy mógł sprawdzić, czy drzewo jest wywożone z lasu legalnie.

Szlakowy był wysoką funkcją, powierzaną ludziom znanym z uczciwości, o odpowiednim wykształceniu, często pracującym w Ordynacji od pokoleń. Otrzymywał dom podobny do dworu i podlegał tylko podleśniczemu (podleśnemu), a więc szefowi klucza lasów zwierzynieckich. Klucz Zwierzyniecki obejmował ogromny okrąg lasów od Kosobud, poprzez Krasnobród, Józefów, Turzyniec, Kawęczyn, Niedzieliska, Kąty koło Zawady, z powrotem do Kosobud. Granica tego okręgu była długa na około 70 kilometrów. Po znacznym zmniejszeniu, spowodowanym uwłaszczeniu pańszczyźnianych chłopów, Ordynacja liczyła jeszcze 180.000 hektarów.

Ziemia zakupiona przez moich rodziców wokół Szlakówki pochodziła z rozparcelowanego folwarku Brody Stare. Do czasu parcelacji folwark ten dzierżawił od Ordynacji Zamojskiej Aleksander Sawicki, kiedyś właściciel własnego majątku koło Łabuń. Wyodrębnił z folwarku kwadrat powierzchni o wymiarach około 100X100 metrów, na której to działce znajdował się dwór wraz z ogrodem i obsadził go żywopłotem z bzu. Żywopłot ten niepielęgowany i rozrośnięty znajduje się tam chyba do dzisiaj. Wychowywało się u Sawickiego troje wnucząt, dzieci jego córki: Irena, Katarzyna i Henryk Pawłowscy. Irena to późniejsza żona dr Stefana Józwiakowskiego i matka dr Andrzeja Józwiakowskiego, który opowiadał mi, że jego pradziadek z upodobaniem obsadzał żywopłotem z bzu wszystkie swoje siedziby.

Po parcelacji folwarku Sawicki zakupił spory szmat ziemi i dawne czworaki, które adaptował na swoje mieszkanie a także inne pozostałości folwarku- długie murowane stajnie, obory, stodoły i kuźnię. Wyglądało to jak zmniejszony, ale jednak folwark, który po jego śmierci odziedziczył wnuk Henryk Pawłowski.

Dużą część b. folwarku wraz z samym dworem kupił reemigrant z USA Michał Dawid. W tym dworze uczyłem się podczas okupacji, gdyż dwie izby dworu przekazał Dawid do nauki dla polskich dzieci wyrzuconych ze szkoły, którą Niemcy zajęli dla dzieci folksdojczów. Dwór z upływem lat podupadał właściciel z braku środków nie zapobiegł jego ruinie - dwór się zawalił.

Najbliżej dworu znajdowała się kuźnia, w której podczas przerw lekcyjnych można było przyglądać się pracy kowala. Był nim stary mężczyzna o nazwisku Kapuśniak, były żołnierz rosyjskiej carskiej armii. Przed i po pracy na cywilnej marynarce nosił medale otrzymane podczas wojny rosyjsko-japońskiej w 1904 r. W czasie okupacji niemieckiej, gdy szedł dostojnie do Szczebreszyna, wyprostowany, oparty na lasce z medalami w klapie, siwy z sumiastym wąsem i w maciejówce, Niemcy mu salutowali a często i podwozili.

Kiedy w latach 30-tych XX rodzice sprowadzili się na Szlakówkę droga w Brodach Dużych była gruntowa i bardzo rozjeżdżona. Wiosną i jesienią z ogromnymi kałużami, które objeżdżało się raz z lewej a raz z prawej strony.

Wójt postanowił ją wybrukować. Wyznaczono ją tak, że jeden skraj drogi biegł b. blisko naszego płotu- musieliśmy wyciąć gruszę rosnącą koło piwnicy, a rów po drugiej stronie drogi był za to bardzo szeroki. Plotka głosiła, że tak żądał Pawłowski, który musiał się przeprowadzić z dworu do fornalskich czworaków i nie chciał mieć drogi pod oknami. Droga została wybrukowana okrągłymi kamieniami, na których podskakiwały furmanki- wszyscy woleli jechać dalej poboczem. W kilkanaście lat po drugiej wojnie światowej drogę pokryto asfaltem.

Wszystkie mieszkania służbowe Ordynacji Zamojskiej, dwory, Szlakówki i gajówki miały podobny schemat- główne wejście przez ganek. Różniły się tylko wielkością i materiałem, z którego zostały zbudowane. Dwory i Szlakówki murowane, gajówki były z drzewa o niewielkim metrażu

W praktyce wejście przez ganek wykorzystywano tylko w dworach - wchodziło się przez nie do holu, gdzie zostawiano ubiory wierzchnie i ewentualnie kalosze- kiedyś w dniu niepogody panowie z dobrych domów nosili na butach sięgające do kostki kalosze. Po obu stronach holu znajdowało się po dwa pomieszczenia- z prawej strony dwa pokoje- jeden z przodu drugi z tyłu, po lewej jeden pokój z przodu i kuchnia z tyłu. W tyle holu stał ogromny piec ogrzewający równocześnie wszystkie pomieszczenia po lewej i prawej stronie. Za nim znajdowało się wyjście do ogrodu.



Fot. Dr Andrzej Józwiakowski

Dwór w folwarku Brody Stare w 1934 r. Już nie zamieszkały- wpadający w ruinę. W latach pięćdziesiątych XX w. zniknął.



Gajówka „Krzywe” dla dwóch gajowych- z lewej Lotz, z prawej Kawka

W czasach przedwojennych wieś żyła biednie. O nawozach sztucznych nikt nie słyszał, jeżeli nawet, to nie było ich za co kupić. Aby zwiększyć plony stosowano nawóz naturalny, obornik z własnego gospodarstwa i przyorywano poplony, np. łubin, jako tzw. nawóz zielony.

Prawie jedyne pieniądze, jakie można było uzyskać były ze sprzedaży mleka i buraków cukrowych. Żyta rodziło się 12-14 kwintali z hektara i mało nań było kupców, handel zbożem całkowicie opanowali Żydzi, którzy płacili po około 10 złotych za kwintal. (Pensja nauczycielska wynosiła 100 do 250 miesięcznie). Kartofle były dla siebie i dla świń na mięso. Ojciec wpadł na pomysł, aby budującym się w mieście sprzedawać piasek. Ziemia nasza leżała na skraju pradoliny Wieprza, stąd pod dwudziestą centymetrową jej warstwą znajdowały się pokłady piasku.

Wszystko było robiono ręcznie. Orało się końmi, siało się z płachty ręką, kosiło kosą i młóciło cepami. Kartofle kopało się motykami. Buraki cukrowe po wyrwaniu każdego z osobna ogławiało się nożem, oczyszczało z ziemi i ucinało korzonek. Potem pięknie ułożone na furmance wiozło się do odległej o prawie pięć kilometrów cukrowni. Wszystko w spiekocie, lub jesiennej słońcu.

Oprócz stałego pomocnika nazywanego parobkiem, można było do każdej pracy znaleźć pomoc doraźną. Bezrobocie na wsi obliczano na kilka milionów ludzi. Nie było prawie dnia żeby nie zjawił się ktoś żebrzący- dostawał pajdę chleba. Było ich dużo każdej niedzieli pod kościołami, zatrzesienie w Zaduszki przed wejściem na cmentarz. Siedzących i stojących w równym rzędzie. Przechodząc koło nich dawało się drobne pieniądze prosząc o pomodlenie się za dusze Jana, Marii itp.

Ciągle przychodzili różni wędrowcy oferując swoją pracę. Nieraz prawie za samo wyżywienie. Pamiętam, że najmujący się na cały dzień do koszenia czy

młócenia (najcięższe prace) prosił o wyżywienie i jeden złoty zapłaty. Byli to tzw. wyrobownicy- ludzie, którzy nie posiadali własnej ziemi. Wszyscy nasi sąsiedzi w kierunku Brodów Małych byli takimi wyrobnikami. Tylko dwóch miało zawody- Hołota był cieślą, a Kwapisz stolarzem. Żona Hołoty pomagała mamie w różnych pracach domowych i była pomocna w leczeniu przeziębień. Postawiła bańki, wysmarowała pierś terpentyną, obłożyła papierem nasiąkniętym tłuszczem, omotała ciepłymi chustami i na drugi dzień było się prawie zdrowym.

O ile gospodarze żyjąc biednie mieli przynajmniej, co jeść- wyrobownicy żyli w nędzy. Podstawą ich wyżywienia przez zimę było kilka beczek kapusty, kartofle i mąka na kluski i chleb. Z uwagą śledziłem Hołotę, jak brzytwą dzielił zapałki na dwoje. Będąc cieślą nie często miał robotę, gdyż niezbyt wielu ludzi się budowało. Zrobił sobie skrzypce i często widziałem go jak na nich grał. Ich dzieci w zimie nie wychodziły na dwór, bo nie miały butów.

Wiele dzieci wiejskich, szczególnie wyrobników, było źle odżywionych. Stad ich duża śmiertelność, gdyż o leczeniu nie mogło być mowy z powodu braku pieniędzy dla lekarzy. Ubezpieczenia zdrowotne były tylko dla pracowników państwowych- Ordynacja Zamojska posiadała dla swoich pracowników własnych lekarzy.

Węgla nie było, paliło się tylko drzewem. Bardzo dużo ludzi, których nie stać było na kupno drzewa zbierało w lesie susz i gałęzie. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni, od świtu do nocy, ciągnęły koło Szlakówki gromadnie kobieciny ze Szczepieszyna do lasu. Każda wracała niosąc w chustach na plecach, w tzw. zajdach, trochę tych gałęzi na bieżący użytek i na zapas na zimę.

U nas był swój chleb i wystarczało go zawsze, jak również różnego gatunku mąki i kasz. Swoje były mleko, ser, masło, jaja, kartofle, warzywa, a raz, czy dwa razy w roku biło się świnie. Oczywiście biło się w domu, nie w rzeźni. Uderzona, celem ogłuszenia, obuchem siekiery w głowę świnia przeważnie jeszcze kwiczała, kiedy wpychano jej nóż pod przednią łopatkę i zbierano do miednicy krew płynącą z przebitego serca. Z krwi robiło się przepyszne kaszanki. Mieszkanką krwi i kaszy gryczanej napychało się oczyszczone grube jelito świni, układało w blachach do pieczenia ciast wyścielonych owsianą słomą, wkładało do rozgrzanego pieca chlebowego i piekło tak długo, aż skórka robiła się chrupka.

Po zabiciu kładło się świnie do specjalnych, dużych niecek i sparażano ją wrzątkiem. Pod jego wpływem łatwo schodziła ze świni sierść zdrapywana nożem. „Ogoloną” świnie podnosiło się za tylne nogi na łańcuchach do jakiejś belki i rozpruwało brzuch.

Nie było lodówek, z mięsa robiło się różne wyroby, które trzeba było zakonserwować, aby podczas przechowywania nie ulegały zepsuciu. Podstawowymi konserwantami było wędzenie, suszenie i solenie. Przede wszystkim kielbasy, które uwędzone i podsuszone wisiały potem na drążkach w spiżarni. Szynki najpierw pekłowały się kilka dni w wodzie doprawionej saletrą, solą i innymi przyprawami. Potem były wędzone w dymie z drzewa dębowego, jałowca i itp. Następnie gotowało się je tyle godzin ile kilogramów ważyły. Tak przyrządzone można było długo przechowywać. Smak tych wyrobów jest dla dzisiejszych konsumentów wędlin „sklepowych” - niewyobrażalny.

Mięso solono i układano w drewnianych beczułkach, często zalewając je z wierzchu tłuszczem ze świnia. Oczywiście nikt wtedy nie słyszał o szkodliwości zwierzęcego tłuszczu. Im świnia była grubsza i cięższa tym było lepiej. Najlepsza była taka, która po zabiciu miała słoninę grubości czterech męskich palców. Słonina i smalec wytapiany z tzw. sadła były najbardziej popularnym tłuszczem, jakiego się powszechnie używało.

Tak było do okupacji. Potem świnia nie mogła kwiczeć, bo ktoś niepowołany mógł się dowiedzieć, że się ją zabija. Wszystkie były kolczykowane i trzeba było je oddawać na tzw. kontyngent. Ale już przy urodzeniu jedno czy dwoje prosiąt nie było kolczykowane, schowane i te służyły na własny użytek. Przychodził Albinger wciskał świnia w czoło zrzutowego Smith- Wessona i naciskał cyngiel. Świnia ani zipnęła, a strzału nie było słychać. Narodził się zwyczaj sąsiedzkiej wymiany. Podczas świniobicia dawało się np. połówkę czy ćwiartkę świnia sąsiadowi, a on oddawał za kilka miesięcy ze swojej.

Wyrabiano się sposobem domowym trochę oleju konopnego potrzebnego w czasie wielkiego postu. Siało się konopie, a później z jego ziarnem szło się do domowej olejarni Bronikowskiego. Było tam urządzenia do wyciskania oleju. Najpierw ziarno było mielone na grubo, potem podgrzewane, następnie zawijane w płótno w formie płaskich placków o grubości około pięciu centymetrów. Wkładało się te placki do prasy i wyciskało olej, a z placków zostawały tzw. makuchy, którymi karmiło się trzodę. Olej był nierafinowany o mocnym, specyficznym niezabyt przyjemnym zapachu.

Kiedy gotowało się rosół z kury, której przedtem trzeba było uciąć łeb, robił to każdy stary czy młody, który był w danej chwili niczym niezajęty.

Chleb piekło się w każdym domu. Raz w tygodniu przynosiło się do ciepłej kuchni dzieżę z zakwaskiem- była to zostawiona z ubiegłego tygodnia garść ciasta, sypało mąkę, dolewało wody i mięsiło się to przez kilkadziesiąt minut na ciasto. Dzieża z ciastem stała przez kilka godzin w ciepłe, ze sfermentowanego zakwasu wydzieliał się dwutlenek węgla- ciasto rosło. W piecu chlebowym rozpalało się ogień- w ciągu kilkadziesiąt minut piec się nagrzewał, wsuwało się do niego uformowane bochenki i chleb piekł się przez kilkadziesiąt minut. Nie za długo, bo mógł się przypalić, nie za krótko, gdyż wtedy był zakalec- wstyd dla gospodyni.

„Raz się babie taki chleb zdarzył, że kot pod skórą łaził, podniósł ogon do góry i jeszcze nie dostał do skóry”

Tak upieczony chleb nie czerstwiał przez cały tydzień, a jak wspaniale smakował bez dodatków chemicznych- trudno opowiedzieć.

Do wszystkich prac domowych trzeba było mieć dużo doświadczenie. Zdobywało się go pomagając od najmłodszych lat rodzicom: syn ojcu w gospodarce, córka matce w domu

Niezapomniane były wyprawy do młyna. W umówiony z młynarzem dzień jechało się zwykle do młyna Bryłowskiego przy drodze do Sułowa. Ja od razu udawałem się do pomieszczenia, gdzie pracowała ogromna maszyna parowa napędzająca wszystkie urządzenia młyna. Samo koło zamachowe miało chyba około dwóch metrów średnicy i ważyło zapewne kilka ton. Potem szedłem na górę i obserwowałem produkcje mąki. Żyto mielono na mąkę sitkową do wypieku chleba, a pszenicę na białą mąkę różnego odcienia, przy czym najbielsza i najlepsza była „pięćdziesiątka”, co oznaczało, że z jednego metra pszenicy otrzymywało się 50 kg mąki. Czasami jechało się mleć mąkę do młyna

Drożdżyka przy drodze do Błonia, gdzie ciekawostką była winda na piętro, oraz turbina wodna napędzająca urządzenia młyńskie i dająca prąd nawet do częściowego oświetlenia Szczepieszyna, zanim nie doprowadzono - chyba około 1937 r. trwałej linii elektrycznej z Zamościa.

Po uprzednich mieszkańcach Szlakówki na strychu Szlakówki stał kosz, w którym były książki szkolne jeszcze z przed pierwszej wojny światowej. W książce matematycznej były zadania, gdzie miary odległości podawano w calach, łokciach, arszynach, prętach, stajaniach i wiorstach, a wagi w funtach, pudach, korcach.

Był także tzw. zolnik - ówczesna pralka. Beczka na trzech nogach z zatykanym otworem u spodu, do której wsypywało się tzw. potasz, czyli popiół z odpowiedniego drzewa. Było to coś w rodzaju ługu. Ług, jako gryząca zasada rozpuszcza tłuszcz. Oczywiście potasz był słabym ługiem. Ale w towarzystwie przelewanej przezeń gorącej wody wypłukiwał z obracanej białizny brud. Następnie pranie w zolniku trzeba było kilka razy przelać zimną wodą dla wypłukania popiołu. Oczywiście po takim praniu białizna była szara a nie biała.



Wsp. Piwowarka

Z lewej stępa, z prawej zolnik.

Ten rodzaj prania nie był już stosowany w czasach mojego dzieciństwa, jako przestarzały. Białiznę osobistą, jak i pościelową gotowało się w dużych garach z dodatkiem ówczesnego proszku do prania. Później w balii prało się ją na tarce i płukało w zimnej wodzie z dodatkiem niebieskiej farbki, która nadawała białiznie biel.

Pranie była to bardzo ciężka praca, jak każda domowa praca kobiet, dość sobie uświadomić ile wiader wody trzeba było ze studni naciągnąć i przynieść do domu. I ile siły mieć do tarcia pościeli na tarce. Stąd przeznaczane na to

były całe dni. W książkach z tego okresu spotyka się opisy, że u kogoś na pranie przeznaczone były np. wtorki, lub inne dni tygodnia.

W Szlakówce urodziły się trzy moje młodsze siostry. Teresa Szumigaj, Elżbieta Kalinowska i Irena Łowczyńska. Dzieci były trzymane w beciku. Kładło się dziecko na pieluszcze i zawijało w nią z rączkami ściśle przy boku, następnie układało w beciku, a becik krepowało wstążkami. Leżała taka kukielka bez ruchu i dopiero oswobodzona podczas przewijania, lub kąpieli, nadrabiała gwałtownie wymachując rączkami i nóżkami.

* * *

Rynek w Szczepieszynie wokół ratusza nie był utwardzony prawie do samej wojny w 1939 r. W każdą niedzielę był pełen furmanek, którymi wierni przyjeżdżali do kościoła.

Szczególną uwagę zwracał przyjazd Zamoyskich z pałacu w Klemensowie. Przyjeżdżali brekiem, w którym siedzenia nie były ustawione, jak w bryczce- w poprzek pojazdu, ale wzdłuż- mieściło się w nim więcej osób. Przyjeżdżała młodzież i dzieci, około 6-8 osób. Były to córki ordynata i ich opiekunki. Byli skromni, nie wyróżniali się od innych uczestników mszy ani ubiorem, ani zachowaniem jedynie tym, że zajmowali ławki kolektorskie. Krążyły opowieści, że w domu też były wychowywane w skromności i nierozpieszczone- zużyte buty szły do naprawy u szewca, zaś podwieczerek był przygotowywany nie przez kucharki, lecz dzieci Zamoyskiego.

Natomiast konie ciągnące brek odróżniały się bardzo od reszty koni stojących w rynku furmanek. Były ze stada hodowlanego koni rasowych, wypoczęte, pełne niewyładowanej energii- nie mogły ustać w jednym miejscu ani minuty. Stangret jeździł nimi po całym Szczepieszynie aż do czasu, gdy msza się skończyła. Podjeżdżał znowu pod kościół, zabierał swoich pasażerów i odjeżdżał. Konie chłopskie, spracowane, zmęczone całotygodniową pracą stały z opuszczonymi głowami drzemiąc.

Samego ordynata hrabiego Maurycyego Zamoyskiego i jego żony nie widziałem- myślę, że jeśli byli w Klemensowie jeździli na mszę do kolegiaty w Zamościu. Być może jeździł z nimi i Jan, ich syn i następca, którego też nie widziałem na mszach w Szczepieszynie. Najprawdopodobniej jednak ordynat spędzał większość czasu w Warszawie. W Warszawie miał pałac i bibliotekę z ogromnym zasobem nieocenionych, starożytnych dzieł i dokumentów dotyczących Polski i świata, gromadzonych przez Zamoyskich wiekami. Niestety 90% z nich spaliło się w czasie Powstania Warszawskiego. Maurycy był bardzo zaangażowanym działaczem politycznym i społecznym- stąd konieczność częstego przebywania w Warszawie.

[Według encyklopedii był Maurycy Zamoyski współtwórcą Centralnego Towarzystwa Rolniczego (od 1903 prezes); od 1904 w Lidze Narodowej, przewodniczący Narodowej Demokracji; członek władz naczelnych Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego w zaborze rosyjskim; 1906 poseł do rosyjskiej I-szej Dumy Państwowej; podczas I-szej wojny światowej wiceprezes Komitetu Narodowego Polskiego w Warszawie, następnie wiceprezes Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu; 1919–24 poseł we Francji; 1924 minister spraw zagranicznych.; 1925–27 prezes Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskiej; działacz wielu organizacji kulturalnych i oświatowych. Przed II-gą wojną prezes partii Narodowa Demokracja]

* * *

Trzeba wspomnieć też o świętach Bożego Narodzenia i Wielkanocnych. Tak o święcie bożonarodzeniowym pisze Karol Dickens:

„Niezliczone, zaiste, są serca, dla których Boże Narodzenie jest czasem wesela i radości. Ileż to rodzin, których członkowie rozproszyli się po całym świecie w twardej walce o byt, zbiera się wtedy, przeżywając chwile radości i pogody, dalekiej od trosk tego świata. Zaliczają Boże Narodzenie do chwil najszczęśliwszych, niosących błogosławieństwo i ukojenie. Piszemy te słowa, a wiele mil i czasu dzieli nas od grona najbliższych. Wiele serc, które się wtedy radowały, przestało już bić. Wiele oczu, które wtedy patrzyły tak radośnie zamknęło się. Ręce któreśmy ściskali są zimne i martwe. A jednak wspomnienie starego domu, pokoju, głosów, twarzy, uśmiechów, zabaw budzi się w naszych duszach, co rok, gdy zbliża się ów dzień, z taką wyrazistością, jakby to, co dawno minęło działo się wczoraj! Szczęśliwy, szczęśliwy dniu, który potrafisz nas przenieść w czasy dzieciństwa, który potrafisz przypomnieć staremu radość młodości, który sprawiasz wracanie do rodzinnego domu”.

Na terenach wiejskich najdłużej utrzymywały się stare zwyczaje, jeszcze z czasów pogańskich. Święta Bożego Narodzenia w Szczebrzeszynie i okolicach powszechnie nazywano „święta godnie” nie zdając sobie sprawy, że nazwa ta pochodzi od starosłowiańskiego słowa god = rok. Wtedy kończył się stary rok, a zaczynał nowy. Z tej okazji nasi przodkowie, zapewne tak jak i my, wyprawiali ucztę. Święto te obchodzone było przez wszystkie plemiona agrarne: romańskie, germańskie i słowiańskie. W IV wieku naszej ery kościół ustalił, że w tym dniu będą obchodzone narodziny Chrystusa.

Z czasów pogańskich przetrwało wiele przesądów i zwyczajów. Jeśli w dzień wigilijny przyszła do domu, jako pierwsza, kobieta, obojętnie siostra, sąsiadka czy żebraczka, wróżyło to, że następny rok będzie zły. Aby temu zapobiec w dzień wigilijny już od rana biegali chłopcy po domach z życzeniami: „Szczęścia, zdrowia wieszujemy na tę świętą wiliję”. W ten sposób pierwszy do domu przychodził mężczyzna to nic, że nieletni. Oczywiście coś tam za te życzenia dostawali, zwykle parę groszy. Dlatego do nas przychodziło ich zawsze kilku, bo mało było domów gdzie dostawali pieniądze.

W dniu tym trzeba było oddać wszystkie pożyczone rzeczy- tak pieniądze jak i np. książki, czy szklankę cukru, odpuścić wszystkie doznane krzywdy, czy przewinienia. Pozbyć się całego balastu starego roku. Tak, aby w nowy rok wejść z „czystym kontem”.

Ze starych czasów pochodził także zwyczaj, że w pomieszczeniu, w którym jadło się wieczerzę wigilijną stał w kącie okazały snop zboża. Gdy później były małe wnuki ojciec rozkładał na podłodze słomę, na której mogły baraszkować. Po wieczerzy dawało się bydłu pokruszony kawałki opłatka koloru zielonego. Nie mieliśmy imponującego sadu. Trochę wiśni, malin, truskawek zwanych przez miejscowych chrustawkami i gruszę bociankę. Tę gruszę obwiązywało się powrósem, aby lepiej rodziła.

Wszystkie te zabiegi miały przynieść w przyszłym roku dobre plony w polu, sadzie i oborze. Ojciec robił to dla podtrzymania tradycji.

Cały dzień wigilijny pościło się- dzieci dostawały mleko i chleb. W pokoju stołowym ubierało się dużą choinkę przyniesioną uprzednio z lasu. Często

chodzę po nią z ojcem. Po prostu każdy szedł do lasu, wyszukiwał sobie przeważnie ładną jodełkę i wycinał. Nieznane było kupowanie jej na targu lub w nadleśnictwie. Nikt tego odwiecznego procederu nie uważał za jakieś przestępstwo. Po to rosły w lesie choinki, aby je ściąć na Boże Narodzenie.

Choinkę ubierały dzieci. Kiedy nie mogliśmy dosięgnąć do czubka, który znajdował się pod samym sufitem, ojciec zawieszał tam zawsze tego samego aniołka. Później, kiedy podrosłem i stojąc na krześle dosięgałem czubka choinki, zawieszanie go należało do mnie. Choinka była ubrana skromnie, tak jak wszystkie choinki w tamtych czasach. Trochę orzechów włoskich opakowanych w srebrne lub złote tzw. pozłotko, czyli cynfolię po cukierkach, jabłka, podłużne cukierki choinkowe podobne do ołówków i kolorowe bańki. Opasana była długim łańcuchem. Łańcuch był z roku na rok ten sam, ale dorabiało się go trochę, prawie każdego roku. Ze specjalnego papieru o różnych kolorach wycinało się szerokie na centymetr i długie na 10 cm paski. Taki pasek przekładało się przez już istniejące kółko łańcucha i sklejało się klejem z mąki lub z miąższu kasztanów. W ten sposób powstawało nowe kółko, do którego wsuwało się następny pasek, sklejało itd. Każde sąsiadujące z sobą kółka były robione z papieru o innym kolorze. Na choince były umieszczone świece w specjalnych uchwytach, zwanych żabkami.

Dzień wigilijny był dla wszystkich bardzo pracowity. Oprócz normalnego obrządku tj. trzykrotnego karmienia krów, koni, świń, dojenia krów, trzeba było przygotować dla nich pokarm na pozostałe dwa dni. Różniło się dużo siewki, parzyło w specjalnym kotle zwanym parnikiem kartofle. Trzeba było napitować i narąbać na zapas drewna do kuchni i pieców, nanosić ze studni wody itd. Cały dzień paliło się w kuchni, bo gotowały się potrawy wigilijne. Oczywiście jak zawsze w zimie trzeba było rano i wieczorem palić w piecach ogrzewających jadalnię i sypialnię.

Po wykonaniu wszystkich tych czynności następowało golenie, mycie się i ubieranie w świąteczne ubrania. Kiedy wszyscy byli już gotowi a pora wskazywała, że już mogła świecić pierwsza gwiazda, a czasami, jeśli była pogoda faktycznie już świeciła, zasiadano do wigilijnego stołu.

Potraw nie liczone, ale na pewno było ich 12 lub więcej wliczając w to chleb, sól i inne przyprawy. Barszcz czerwony z uszkami, pierogi z kapustą i grzybami, kluski z makiem, kisiel. Problem był z rybami, bo nie było w pobliżu żadnych stawów, a o tradycyjnych śledziach w czasie okupacji nie było mowy.

Ponieważ w tamtych czasach nie było telewizji ani radia, kolację jadło się powoli i z przerwami na kolędy. Śpiewało się ich dużo. Dzisiaj przeglądając płyty z tradycyjnymi kolędami widzę, że znam je prawie wszystkie. Mama i ojciec mieli niezłe głosy i lubili śpiewać. Rozmawiało się o różnych sprawach wesołych i smutnych, o tym „jak drzewiej bywało” i o tych, co odeszli.

Potem szło się na pasterkę odprawianą o godzinie 12-tej w nocy. Jechało sporo sań- parafia była duża, obejmowała kilka sąsiednich wsi m.in. Żurawicę, Brody Małe i Duże. Zimy były śnieżne i mroźne, pamiętam takie, gdy temperatura sięgała minus kilkanaście stopni. Niebo było piękne, wygwieżdżone- teraz podobno tak piękne niebo można zobaczyć jeszcze tylko w Bieszczadach. Przesłoniły go światła elektryczne. Zmarznięty śnieg skrzypiał pod butami. W nocy często nie było wiatru, a przy mrozie bardzo wyraźnie i daleko rozchodził się głos. To też, kiedy gruchnęła w kościele potężna kolęda „Bóg się rodzi” słyhać ją było daleko.

Nazajutrz w pierwszy dzień świąt odsypiało się pasterkę i siedziało w domu. Drugi dzień, świętego Szczepana, był przeznaczony na odwiedziny krewnych.

W pogański dzień wiosennego zrównania dnia z nocą, budzenia się przyrody do życia, jej zmartwychwstania, odrodzenia, kościół postanowił obchodzić Wielkanoc. Z odwiecznymi atrybutami oczyszczania przez wodę i ogień. W wielką sobotę przed wejściem do kościoła paliło się duże ognisko z tarniny, której nadpalone kawałki wkładało się do butelki z wodą- tym sposobem święcono i ogień i wodę. Symbolem odrodzenia było także jajko włożone do koszyczka ze święconką, pokarmem poświęconym przez księdza w Wielką Sobotę.

W niedzielę wielkanocną, po rezurekcji, wszyscy chcieli jak najszybciej wyjść z kościoła, rozpoczynał się wyścig furmanek- były ich setki. Wierzono, że kto najszybciej dojedzie do domu temu najlepiej wieść się będzie w gospodarce. Tylko raz w życiu znalazłem się w szybko wychodzącym z kościoła wielkanocnym tłumie – w zwężeniu kościelnej bramy mało mnie wtedy nie uduszono i stratowano, straszne uczucie. Po tym przeżyciu zawsze starałem się unikać tłumy.

Szlakówka po modernizacji i unowocześnieniu infrastruktury jest dzisiaj pensjonatem pod nazwą” www.przystanekszlakowka.pl”.